

TEKST I ZDJĘCIA: Andrzej Niziński

WYPRAWA NA MOUNT McKINNLEY

O Mount McKinley marzyłem od wielu lat, a tym bardziej od przyjazdu do USA. Czekałem tylko na odpowiedni moment.

Gdzieś w lutym otrzymałem od kolegi z Warszawy wiadomość, że w tym roku (a był to rok 1989) w maju lub czerwcu polscy alpinisci organizują wyprawę na Alaskę. Była to jedyna informacja na ten temat. I nagle, pod koniec kwietnia nad ranem obudził mnie telefon. Dzwonił Leszek Cichy, człowiek, który jako pierwszy w świecie dokonał zimowego wejścia na najwyższy szczyt świata Mount Everest. „Jesteśmy w drodze na Alaskę! Naszym celem jest zrobienie pierwszego polskiego przejścia na Mount McKinley – Filarem Cassina. Czy jesteś zainteresowany?” Byłem kompletnie zaskoczony, myślałem, że to sen. Zdecydowałem się natychmiast. „Tak, jasne, oczywiście” – odpowiedziałem raczej odruchowo. „No to bądź 5 maja na lotnisku w Anchorage – tam się spotkamy”. Byli już wtedy w Kanadzie, ale mieli do przejechania samochodem olbrzymi szmat drogi na Alaskę.

Mount McKinley – najwyższy szczyt Ameryki Północnej (6194 m n.p.m.) oddalony zaledwie o około 200 km od Koła Polarne, słyną-

cy ze złej pogody, huraganów, wielodniowych burz i gwałtownych załamań pogody, z temperaturą –40 stopni C.

Filar Cassina – niezdojony jeszcze przez Polaków – najwybitniejsza i najtrudniejsza formacja południowej ściany, wysokości 3000 metrów. To skały i lody o nastromieniu 60–80 stopni.

Miałem początkowo wątpliwości co do własnej formy, zacząłem się zastanawiać czy dam radę. Uwierzyłem jednak, że sprostam nowemu wyzwaniu, ponieważ w górach nie byłem nowicjuszem. Jeszcze tego samego dnia byłem w posiadaniu biletu do Anchorage, a następny dzień przeznaczyłem na zakupy. Nie miałem przecież nic, co mogłoby mi posłużyć do szturmowania potężnego Filaru Cassina.

Na lotnisku w Anchorage poznałem ich bez trudu – byli ubrani w jednakowe kurtki, świeżo po zimowej wyprawie w Himalaje. Leszek Cichy – kierownik, Leszek Wolanin, Paweł Kubalski, Piotr Młotecki – historia polskiego alpinizmu, Grzegorz Szarejko, Maria Szul – reporterka radiowa. Po kilku spotkaniach z miejscową Polonią, wyjechaliśmy do miejscowości Talkeetna, skąd późnym wieczorem wynajętymi małymi samolotkami typu Cessna 185 zostaliśmy przetrzuceni razem ze sprzętem na lodowiec Kahiltna pod McKinley'em. Lot trwał niecałą godzinę, ale wrażenia pozostały niezapomniane. Był to zachwycający, cudowny lot nad uśpioną jeszcze zimowym snem Alaską.

W bazie panował duży ruch, były tam wyprawy z różnych stron świata. Nasz plan był następujący: najpierw wejść na szczyt drogą najłatwiejszą West Buttres, co miało na celu zdobycie aklimatyzacji, a dopiero później szybkie wejście (4 do 5 dni) Filarem Cassina. Normalnie zdobycie szczytu drogą najłatwiejszą zabiera ponad dwa tygodnie. Polega to na stopniowym zdobywaniu wysokości, zakłada-

niu obozów na 4 lub 5 tys. metrów, powrót do bazy, odpoczynek i dopiero atak szczytowy. W ten sposób organizm najlepiej przystosowuje się do zmniejszonej ilości tlenu. Leszek Cichy, fenomenalny alpinista i znakomity kierownik zdecydował, że wyjdziemy wszyscy drogą najłatwiejszą non-stop, tzn. stylem alpejskim. Zdecydował tak dlatego, gdyż wiedział, że i tak nie wszyscy wejdą na drogę Cassina, bo jest zbyt trudna, a chciał dać szansę zdobycia szczytu ludziom słabszym technicznie.

Na tę drogę wzięliśmy plastikowe saneczki, na których każdy ciągnął swój bagaż. Mieliśmy dużo sprzętu oraz żywności, ponieważ nie można było przewidzieć, jaka pogoda będzie tam, wyżej i jak długo potrwa wspinaczka. Pierwsze dwa dni to był żmudny marsz po lodowcu poprzecinanym szczelinami. Na wysokości ok. 4200 m był duży namiot z radiem i pomocą medyczną. Tam odpoczęliśmy i już bez sanek ruszyliśmy następnego dnia dalej. Postanowiłem iść ostro, aby się sprawdzić. W połowie drogi do obozu na wys. 5100 m dopadł nas sztorm: wichura, mgła, śnieg, widoczność na kilka metrów. Następnego dnia odpuściliśmy na odpoczynek. 16 maja rano ruszyliśmy do ataku na szczyt. Przed nami było ok. 1000 metrów w pionie. Było bardzo zimno, zwłaszcza rano (poniżej –35 stopni C). Szliśmy więc szybko. Na grani zerwał się wiatr, unosząc chmury śnieżnego pyłu. Szło mi się nieźle, ale z wielkim wysiłkiem. Powiedziałem sobie, że muszę i już. Brak tchu, czarne plamy przed oczyma, ale to nic. Starłem się utrzymać tuż za Leszkiem Cichym, ale to nie było takie proste. Leszek miał niesamowitą formę. Kilkanaście metrów przed szczytem zatrzymał się i czekał na mnie oraz jeszcze jednego kolegę i powiedział: „Wejźmy razem”. Piękny gest! Chyba docenił moje ambicje i wytrwałość. Tak więc ręka w rękę z Leszkiem stanąłem na najwyższym szczycie Ameryki Północnej. Stało się. Pokonałem sam siebie, oto wyśnił się mój wielki sen. Widok ze szczytu to wspaniała nagroda za te kilka dni wysiłku. Jak okiem sięgnąć góry: Mount Hunter, Mount Foraker. Wyżej już na tym kontynencie wyjść nie można! Jeszcze tego samego dnia zesłaliśmy ze szczytu na wysokość 4 200 metrów. Następnego dnia w zadymce, wietrze i mgłę, wielokrotnie gubiąc trasę zejścia, około 11 w nocy dobrnęliśmy do bazy. Pomarańczowe promienie słońca oświetlały jeszcze Mount Hunter. O tej porze roku na Alasce jest widno prawie całą dobę. Byliśmy zupełnie wykończeni. Noc upłynęła nam na picciu i jedzeniu, ponieważ szybkie wejście kosztowało nas bardzo wiele wysiłku. McKinley z racji swego położenia na dalekiej północy sprawia, że organizm człowieka odbiera jego wysokość jako 7000 m.

Co dalej? Leszek Cichy, Paweł Kubalski i Leszek Wolanin mieli teraz zdobyć szczyt jedną z najtrudniejszych dróg sportowych tzw. Filarem Cassina. Postanowiłem iść z nimi jako czwarty. Mieliśmy dwa dni na „doładowanie akumulatorów”. Wiedzieliśmy, że na całej trasie możemy liczyć tylko na siebie, akcja ratownicza jest niemożliwa, a wycofanie się praktycznie też nie wchodzi w grę. Jedyne wyjście to przejście przez szczyt i zejście normalną, znaną już nam drogą.

Dojście pod ścianę trwało dwa dni i prowadziło przez „dolinę śmierci” nazwaną tak z racji ogromnego labiryntu szczelin lodowca. Jak okiem sięgnąć głębokie, błękitno – zielone szczeliny, miejscami połączone mostkami śnieżnymi, do tego huk lawin zakłócający spokój lodowej ciszy. Dwa dni marszu w głębokim śniegu, wśród szczelin lodowca. Zmienialiśmy się co pół godziny na torowaniu dro-





gi. Padałem ze zmęczenia, plecak ciężył niesamowicie. W końcu dolina skończyła się i naszym oczom ukazał się początek wielkiej przygody. Japoński kular – 450 metrów stromej, solidnej o nachyleniu 60–80 stopni rynn lodowej wyglądał imponująco. Pokonanie go zajęło nam 12 godzin! Wspinaliśmy się w stale pogarszającej się pogodzie do 11 w nocy. Cały dzień szedłem z czekaniem w rękę, na przednich zębach raków, które tylko troszkę wbijały się w twardej lod. Przez cały dzień nie zrobiłem ani jednego zdjęcia, bo było to zbyt uciążliwe i niebezpieczne. Już ten pierwszy dzień był dla mnie najpoważniejszą drogą, życiową wspinaczką. Wkręciliśmy w lód śruby lodowe do asekuracji. Kular nie poddał się do ostatniego metra, my również nie!

Wycieńczeni doszliśmy do początku ostrej, śnieżnej grani nazywanej „Ostrze noża”. Jedynym miejscem nadającym się do ustawienia namiotu był balkonik skalny (1,5 m x 1,5 m) zawieszony nad kularzem, prawdziwe orle gniazdo. Nasz namiot ledwo zmieścił się na tej półeczce. Właściwie to my własnym ciężarem utrzymaliśmy go na skale. Wpatrzni w leniwe płomienie palnika oblizujące menażkę to drzemiąc, to budząc się czekamy aż lód zamieni się w wodę. Trwa to bardzo długo, jak zawsze na tej wysokości. Gotowanie przeciąga się do 3 nad ranem. O godzinie 8 jesteśmy już na nogach. Pogoda stale zła, a ostra jak brzytwa, stroma grań śnieżna wymaga niezwyklej koncentracji. Każdy krok jest wyważony, rozważny. Daje to ogromną satysfakcję i radość wspinania. Jestem odpowiedzialny nie tylko za sie-

bie, ale i za partnera, z którym jestem związany liną na śmierć i życie. Po całym dniu wspinaczki z duszą na ramieniu czeka nas nagroda: wygodny biwak i mnóstwo smakołyków pozostawionych tam kiedyś przez Szwajcarów.

Następnego dnia pokazało się słońce, więc z większą ochotą i nadzieją ruszyliśmy do ataku. Najpierw pokonaliśmy kilkaset metrów stromej tafli lodowej, później przedostaliśmy się przez wiszący lodowczyk i rozpoczęła się wspinaczka w skale. Trzeci biwak to walka z naturą o ustawienie namiotu na stromym śnieżnym zboczu. Cała czwórka przez trzy godziny rąbała czekaniami śnieg i lód, aby wykopać platformę pod namiot. Za to śpimy w miarę wygodnie, przypiętleni jednak do haków wbitych w skalne szczeliny. Alaskański wichler szarpie ściankami namiotu, wygrywa jakąś dziwną melodię, usypia nas swoim szumem. Nazajutrz czekają nas ekstremalne trudności techniczne. Najpierw trawers w niemal pionowym lodzie, później system skrajnie trudnych skalnych kominów. Przejście tędy z plecakiem jest niemożliwe, przeciągamy je więc za sobą na linach, sami wisząc przyczepieni do wbitych raków. Aby zmniejszyć do minimum ciężar sprzętu, nie zabraliśmy ze sobą kasków. Zaowocowało to kilkoma bolesnymi guzami. Pogoda znowu się psuje i następnego dnia po zaledwie dwóch godzinach wspinaczki musimy zabiwakować. Huragan wzmaga się z każdą minutą, widoczność maleje. Nie widzimy się ani nie słyszymy w gęstej mgłę i padającym śniegu. W szalejącym wietrze zaczęliśmy szybko rozstawać namiot. Wiatr targał cienkimi ściankami, ale namiot się nie dał. Tej samej nocy, na drodze którą szliśmy poprzednio (tej łatwej), wichler zdmuchnął z grani namiot z trzema Amerykanami. Cudem przeżyli, lecz ciężko się odmrozili. Zostali uratowani przez śmigłowiec ratunkowy armii USA.

Szósty dzień wstał wietrzny, ale pogodny. Za nami był już najtrudniejszy technicznie odcinek, a przed nami 1200 metrów różnicy wysokości do szczytu: strome pola śnieżne i niezbyt trudna wspinaczka skalna. Postanowiliśmy się rozwiązać, iść bez liny, każdy własnym tempem. Wysokość i plecak robiły swoje, płuca pracowały pełną parą. Po drodze minęliśmy wyprawę Koreańczyków, którzy weszli w ścianę 2 tygodnie przed nami. Ostatnie metry to ból, cierpienie, ale jednocześnie i radość wielka – już widać szczyt! I znowu pogoda się psuje. Zaczyna padać śnieg, wzmaga się lodowaty wiatr, ale nie ma to dla nas większego znaczenia. Kompletnie wyczerpani, ale jakże szczęśliwi ściskamy się po raz drugi na szczycie.

Była to moja najtrudniejsza droga w życiu! Jeszcze tylko łączność z bazą za pomocą radia. I nagle odezwały się różne prywatne radiostacje oddalone od nas o dziesiątki mil, firma lotnicza, która nas przywiozła na lodowiec, Park Narodowy Denali. Wszyscy nam gratulowali. Tak, dla takiej chwili warto przeżyć niejedno. Nasza radość była bardzo spontaniczna. Później, we mgłę i śniegu zbiegaliśmy jak na skrzydłach w dół. Walcząc ze zmęczeniem i słabością jeszcze tego samego dnia schodzimy do obozu na 4200 m. Następnego dnia w pięć i pół godziny docieramy do naszej bazy. Tam czekają na nas gratulacje, jedzenie, a nawet piwo.

Teraz dopiero dotarło do mnie, że udało mi się pokonać własną słabość i ból, zrobiłem to, o czym tak bardzo marzyłem. Wyśnił mi się mój wielki sen, a wszystko tak nagle, tak niespodziewanie, jak we śnie. Chyba tylko ja wiem, jak bardzo potrzebna mi była ta moja droga przez mękę dająca tyle radości, wiary w siebie i innych, możliwość głębszego, mocniejszego przeżywania życia, poznawania siebie i swoich granic, wreszcie rozmowy z samym sobą, z górami i z Wszechmogącym, który to wszystko stworzył – dla nas właśnie...

Odlatywaliśmy z lodowca żegnani przez wspinaczy z różnych stron świata, połączeni tą samą pasją odkrywania i zdobywania, walki z przyrodą i samym sobą. Jeszcze tylko ostatnie spojrzenie przez małe okienko samolotu na potężnego McKinleya i powrót do normalnego życia, do ludzi. Na Alaskę przyszła w tym czasie wiosna. Gdy stanąłem na płycie lotniska, przeżyłem dosłownie szok. Soczysta zieleń wybuchająca dosłownie wszędzie, ciepło, śpiew ptaków i ten zapach, którego nigdy nie zapomnę. Tak bardzo intensywny zapach lasu, żywicy, a może był to zapach budzącego się życia, nadziei... ▲

